



Miałem samochód, ale wtedy, jesienią 1973 roku, przeważnie chodziłem do Joylandu piechotą z Plażowego Pensjonatu pani Shoplaw w miasteczku Heaven's Bay. Jakoś czułem, że tak trzeba. A nawet że tylko tak można. Z początkiem września plaża Heaven's Beach prawie zupełnie opustoszała, co pasowało do mojego nastroju. To była najpiękniejsza jesień w moim życiu. Nawet po upływie czterdziestu lat mogę tak powiedzieć. I nigdy nie byłem bardziej nieszczęśliwy, tak też mogę powiedzieć. Ludzie uważają, że pierwsza miłość jest piękna i nigdy nie piękniejsza niż w momencie, kiedy ta pierwsza więź się zrywa. Słyszeliście pewnie z tysiąc piosenek country i popowych, które tego dowodzą: jakiemuś głupcowi złamano serce. A jednak to pierwsze złamane serce zawsze boli najbardziej, goi się najwolniej i pozostawia najbardziej widoczną bliznę. Co w tym pięknego?



Przez cały wrzesień i w pierwszych dniach października niebo nad Karoliną Północną było bezchmurne, a powietrze

cieple nawet o siódmej rano, kiedy wychodziłem z mojego mieszkania na piętrze obok schodów zewnętrznych. Jeśli wyruszałem w lekkiej kurtce, to jeszcze przed pokonaniem połowy z pięciu kilometrów dzielących miasto od parku rozrywki zdejmowałem ją i zawiązywałem w pasie.

Pierwszy przystanek robiłem w piekarni U Betty, gdzie kupowałem dwa jeszcze ciepłe croissanty. Mój cień kroczył ze mną po piasku, długi na co najmniej sześć metrów. Mewy, zwabione zapachem croissantów zawiniętych w woskowany papier, z nadzieją krążyły mi nad głową. A kiedy wracałem, zwykle koło piątej (choć bywało, że zostawałem dłużej – nic nie czekało na mnie w Heaven's Bay, miasteczku, które z końcem lata praktycznie zapadało w sen), mój cień szedł u mojego boku po wodzie. W porze przyptywu drżał na jej tafli, jakby tańczył powolne hula.

Choć nie mogę być tego całkowicie pewien, myślę, że chłopiec, kobieta i ich pies byli tam od mojego pierwszego spaceru po tej plaży. Wzdłuż brzegu między miastem a radosnym, rozmigotanym kiczem Joylandu ciągnęły się domy letniskowe bogaczy. Większość po pierwszym weekendzie września była zamknięta na cztery spusty. Ale nie największy z nich, ten, który wyglądał jak zielony drewniany zamek. Chodnik z desek prowadził z jego szerokiego tylnego tarasu w miejsce, gdzie trawa nadmorska przechodziła w drobny biały piasek. Na końcu chodnika stał stół piknikowy osłonięty jaskrawozielonym parasolem plażowym. W jego cieniu siedział chłopiec na wózku inwalidzkim, w baseballówce na głowie, okryty od pasa w dół kocem nawet późnym popołudniem, kiedy

temperatura przekraczała dwadzieścia stopni. Sądziłem, że miał może pięć lat, na pewno nie więcej niż siedem. Pies, Jack Russell terrier, zwykle leżał obok albo czuwał u jego stóp. Kobieta siedziała na ławie przy stole piknikowym i czasem czytała książkę, ale częściej tylko patrzyła na ocean. Była niezwykle piękna.

Idąc w jedną i w drugą stronę, zawsze machałem do nich ręką, a chłopiec machał do mnie. Kobieta nie, przynajmniej początkowo. Rok 1973 był rokiem embargo OPEC na ropę, rokiem, kiedy Richard Nixon ogłosił, że nie jest kanciarzem, rokiem śmierci Edwarda G. Robinsona i Noela Cowarda. To był stracony rok Devina Jonesa. Byłem dwudziestojednoletnim prawiczkim z literackimi ambicjami. Miałem trzy pary dżinsów, cztery pary majtek, zdezelowanego forda (ze sprawnym radiem), sporadyczne myśli samobójcze i złamane serce.

Piękne, co?



Serce zламаła mi Wendy Keegan i nie zasługiwała na mnie. Prawie całe życie mi zajęło, żeby dojść do takiego wniosku, ale znacie to stare powiedzenie: lepiej późno niż wcale. Ona była z Portsmouth w New Hampshire; ja z South Berwick w Maine. To znaczyło, że była praktycznie dziewczyną z sąsiedztwa. Zaczęliśmy „chodzić ze sobą” (tak się wtedy mówiło) na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie New Hampshire – poznaliśmy się na imprezie integracyjnej dla pierwszego roku. Prawda, że to piękne? Jak w niejednej piosence.

Przez dwa lata byliśmy nierozłączni, wszędzie chodziliśmy razem, wszystko robiliśmy razem. To znaczy wszystko oprócz „tego”. Oboje odpracowywaliśmy czesne na uczelni, ona w bibliotece, ja w Commons, uniwersyteckiej stołówce. Zaproponowano nam, żebyśmy zostali na naszych stanowiskach przez wakacje 1972 roku, i oczywiście się zgodziliśmy. Pieniądze nie były rewelacyjne, za to możliwość bycia razem bezcenna. Sądziłem, że tak samo będzie latem 1973 roku, dopóki Wendy nie oznajmiła, że jej koleżanka Renee załatwiła im obu pracę w sklepie Filene's w Bostonie.

– A co ze mną? – spytałem.

– Możesz przyjechać w odwiedziny – powiedziała. – Będę tęsknić jak szalona, ale szczerze mówiąc, Dev, trochę odpoczynku od siebie dobrze nam zrobi.

To sformułowanie bardzo często jest pierwszym gwoździem do trumny. Możliwe, że wyczytała tę myśl z mojej twarzy, bo wspięła się na palce i mnie pocałowała.

– Rozłąka umacnia uczucia. Poza tym, skoro będę miała własny kąt, może będziesz mógł u mnie nocować.

Mówiąc to, jednak nie patrzyła na mnie i ostatecznie ani razu u niej nie nocowałem. Za dużo współlokatorów, tłumaczyła. Za mało czasu. Oczywiście, tego rodzaju trudności można przezwyciężyć, ale jakoś nigdy tego nie zrobiliśmy, co powinno było mi coś powiedzieć; dziś, z perspektywy lat, mówi mi to wiele. Kilka razy byliśmy bardzo blisko „tego”, ale „to” nigdy się nie stało. Zawsze się wycofywała, a ja nie naciskałem. Boże drogi, byłem dżentelmenem. Później często się zastanawiałem, co by się zmieniło (na dobre lub na złe),

gdybym nim nie był. Teraz wiem tyle, że kobiety rzadko śpiją z młodymi dżentelmenami. Wyszycie to na makatce i powieście sobie w kuchni.



Perspektywa kolejnego lata spędzonego na myciu mopem podłóg stołówki i ładowaniu brudnych talerzy do starych zmywarek niezbyt mi się uśmiechała, zwłaszcza że Wendy miała być o sto kilometrów na południe, w blasku światła Bostonu, ale to była stała praca, której potrzebowałem, a nie miałem dla niej żadnej alternatywy. Aż tu nagle, pod koniec lutego, taka alternatywa dosłownie przyjechała do mnie na taśmociąg z brudnymi naczyniami.

Ktoś czytał „Carolina Living”, kiedy wciął danie dnia, hamburger Mexicali z frytkami Caramba. Potem zostawił pismo na tacy i w ten sposób trafiło do mnie razem z naczyniami. Miałem je wyrzucić do kosza, ale tego nie zrobiłem. Zawsze to coś do poczytania, w dodatku za darmo (musiałem odpracowywać chesne, przypominam). Wsadziłem pismo do tylnej kieszeni i zapomniałem o nim do czasu, kiedy wróciłem do swojego pokoju w akademiku. Tam wypadło na podłogę, otwarte na dziale ogłoszeń, w chwili gdy zmieniałem spodnie.

Ktokolwiek czytał ten magazyn, zakreślił kilka ofert pracy... choć koniec końców musiał uznać, że żadna mu – albo jej – do końca nie odpowiadała; w przeciwnym razie „Carolina Living” nie wylądowałoby na taśmociąg z brud-

nymi naczyniami. Mój wzrok przyciągnęło ogłoszenie u dołu strony, mimo że nie było zakreślone. Pierwsza, wytluszczona linijka zachęcała: **PRACUJ BLISKO NIEBA!** Jaki student anglistyki po przeczytaniu czegoś takiego nie byłby zaintrygowany? I jaki zdolowany dwudziestojednolatek, dręczony narastającą obawą, że traci swoją dziewczynę, nie byłby skuszony wizją pracy w miejscu o nazwie Joyland? W Krainie Radości?

W ogłoszeniu podany był numer telefonu i pod wpływem impulsu zadzwoniłem tam. Tydzień później w mojej skrzynce pocztowej w akademiku wylądował formularz podania o pracę. W załączonym liście poinformowano mnie, że jeśli chcę się zatrudnić w wakacje na cały etat (a chciałem), będę musiał wykonywać różnego rodzaju prace, głównie porządkowe i konserwacyjne, ale nie tylko. Wymagane było ważne prawo jazdy, poza tym czekała mnie jeszcze rozmowa kwalifikacyjna. Mogłem to załatwić w najbliższe ferie wiosenne, zamiast jechać na tydzień do rodzinnego Maine. Tyle że planowałem choć część tego tygodnia spędzić z Wendy. Może nawet w końcu zrobilibyśmy „to”.

– Jedź na tę rozmowę – poradziła Wendy, kiedy jej o tym powiedziałem. Nawet się nie zawahała. – Zawsze to jakaś przygoda.

– Być z tobą to byłaby przygoda – powiedziałem.

– Będzie na to mnóstwo czasu w przyszłym roku. – Stała na palcach i mnie pocałowała (zawsze stawiała na palcach). Czy już wtedy spotykała się z tym drugim facetem? Chyba nie, ale założyła się, że zwróciła na niego uwagę, bo chodził z nią

na zajęcia z socjologii. Renee St. Claire niewątpliwie wiedziała, jak było, i pewnie powiedziałyby mi, gdybym zapytał – paplanie było specjalnością Renee, na spowiedzi ani chybi zamęczała księdza – ale pewnych rzeczy człowiek nie chce wiedzieć. Na przykład dlaczego dziewczyna, którą kochałeś całym sercem, tobie uparcie odmawiała, ale z tym drugim poszła do łóżka praktycznie przy pierwszej okazji. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek w ogóle potrafi do końca wyleczyć się ze swojej pierwszej miłości; we mnie zadra tkwi do dziś. Gdzieś w głębi ducha wciąż się zastanawiam, co ze mną było nie tak. Czego mi brakowało. Jestem po sześćdziesiątce, mam siwe włosy i przeżyłem raka prostaty, ale wciąż chcę wiedzieć, dlaczego nie byłem wystarczająco dobry dla Wendy Keegan.



Pojechałem pociągiem o nazwie The Southerner z Bostonu do Karoliny Północnej (przygoda żadna, ale tanio), a potem autobusem z Wilmington do Heaven's Bay. Rozmowę kwalifikacyjną prowadził Fred Dean, który był – między innymi – personalnym Joylandu. Po piętnastu minutach pytań i odpowiedzi oraz rzucie oka na moje prawo jazdy i wydaną przez Czerwony Krzyż licencję ratownika wręczył mi plastikową plakietkę na smyczy do zawieszenia na szyi. Widniało na niej słowo GOŚĆ, aktualna data i obrazek szeroko uśmiechniętego niebieskookiego owczarka niemieckiego, nieco podobnego do tego słynnego rysunkowego detektywa Scooby-Doo.

– Idź, pooglądaj, przejeźdź się na Carolina Spin – powie-

dział Dean. – Większość karuzeli jeszcze nie działa, ale ta tak. Powiedz Lane’owi, że się zgodziłem. To, co ci dałem, to przepustka na cały dzień, ale chcę, żebyś tu wrócił o... – Spojrzał na zegarek. – Dajmy na to o pierwszej. Wtedy powiesz mi, czy chcesz tę pracę. Mam jeszcze pięć wolnych miejsc, wszystkie to mniej więcej ta sama robota: Wesoły Pomocnik.

– Dziękuję panu.

Kiwnął głową z uśmiechem.

– Nie wiem, jak ci się tu spodoba, ale mnie Joyland w zupełności odpowiada. Jest może stary, może trochę się sypie, lecz to jeszcze dodaje mu uroku, tak przynajmniej sędzę. Przez pewien czas pracowałem w Disneyu; nie podobało mi się. Jest zbyt... sam nie wiem...

– Zbyt komercyjny? – odpowiedziałem.

– Właśnie. Zbyt komercyjny. Zbyt odpicowany i gładki. Dlatego kilka lat temu wróciłem do Joylandu. Nie żałuję. My działamy tu nieco bardziej spontanicznie, na wycucie... trochę jak dawne objazdowe lunaparki. Zobacz, co o tym sądzisz. I, co ważniejsze, jak się tu czujesz.

– Mogę najpierw o coś spytać?

– Oczywiście.

Dotknąłem palcem mojej przepustki.

– Co to za pies?

Uśmiechnął się szerzej.

– Wesoły Pies Howie, maskotka Joylandu. Bradley Easterbrook założył Joyland i pierwowzorem Howiego był jego pies. Zdechł dawno temu, ale i tak będziesz go często widywał, jeśli zdecydujesz się tu pracować w wakacje.

Widywałem go... i zarazem nie widywałem. Łatwa zagadka, ale wyjaśnienie będzie musiało trochę poczekać.



Joyland był niezależnym parkiem rozrywki, nie tak wielkim jak Six Flags, a już na pewno nieporównanie mniejszym od Disney World, ale wystarczająco dużym, by robić wrażenie, zwłaszcza teraz, gdy Joyland Avenue, główna promenade, i Hound Dog Way, pasaż boczny, były prawie puste i wyglądały jak czteropasmowe autostrady. Słyszałem wycie pił mechanicznych i widziałem wielu robotników – największa ekipa rolała się przy Thunderballu, jednej z dwóch kolejek górskich – ale klientów nie było, bo lunapark otwierano dopiero piętnastego maja. Mimo to działało kilka punktów gastronomicznych, żeby robotnicy mieli gdzie kupić lunch, a przed wysadzaną gwiazdami budą wróżki stała starsza pani, która przyglądała mi się podejrzliwie. Z jednym wyjątkiem, wszystko było pozamykane na cztery spusty.

Tym wyjątkiem był Carolina Spin. Miał pięćdziesiąt dwa metry wysokości (tego dowiedziałem się później) i bardzo powoli się obracał. Przed nim stał mocno umięśniony facet w spranych dżinsach, łysiejących zamszowych butach umazanych smarem i podkoszulku na ramiączkach. Jego kruczoczarne włosy przykryte były przekrzywionym melonikiem. Za uchem tkwił papieros bez filtra. Gość wyglądał jak jarmarczny naganiacz ze starego komiksu gazetowego. Obok niego na skrzynce po pomarańczach stał otwarty kuferek

z narzędziami i duże przenośne radio. The Faces śpiewali *Stay With Me*. Facet trzymał ręce w tylnych kieszeniach, kiwał się w rytm muzyki i kołysał biodrami. Przyszła mi do głowy absurdalna, ale doskonale wyrazista myśl: Jak będę dorosły, chcę wyglądać tak jak on.

Wskazał przepustkę.

– Freddy Dean cię przysłał, co? Powiedział ci, że wszystko inne jest pozamykane, ale że możesz się przejechać na diabelskim młynie.

– Tak, proszę pana.

– Przejazdzka na Spinie to znak, że cię przyjął. Lubi, żeby jego wybrańcy zobaczyli wszystko z lotu ptaka. Wezmiesz tę robotę?

– Tak myślę.

Wyciągnął rękę.

– Jestem Lane Hardy. Witaj na pokładzie, synu.

Uścisnąłem jego dłoń.

– Devin Jones.

– Miło mi.

Ruszył w górę pochylni prowadzącej ku niespiesznie obracającej się karuzeli, chwycił długą dźwignię, która wyglądała jak drążek zmiany biegów, i lekko pociągnął ją do siebie. Karuzela powoli znieruchomiała i jeden z barwnie pomalowanych wagoników (na każdym był wizerunek Wesołego Psa Howiego) zakołysał się przy miejscu załadunku pasażerów.

– Wsiadaj, Jonesy. Wyślę cię w przestworza, gdzie ptaki szybują, a widoki czarują.

Wgramoliłem się do wagonika i zamknąłem drzwiczki. Lane szarpnął nimi, żeby sprawdzić, czy się zatrzasnęły, opuścił poprzeczkę zabezpieczającą, po czym wrócił do swoich prymitywnych sterów.

– Gotów do startu, kapitanie?

– Tak sędzę.

– Siódme niebo czeka. – Mrugnął do mnie i pchnął dźwignię sterowniczą. Wielkie koło ruszyło i nagle zobaczyłem, że Lane patrzy na mnie z dołu. Starsza pani przy budzie wróżki też patrzyła. Zadarła głowę i osłaniała oczy dłonią. Pomachałem do niej. Ona do mnie nie.

Po chwili znalazłem się ponad wszystkim oprócz wymyślnych zakrętasów, spadków i wzniesień Thunderballa. Wzbijałem się w chłodne wczesnowiosenne powietrze i czułem się – głupie, ale prawdziwe – jakbym zostawiał wszystkie moje troski i zmartwienia tam, na dole.

Joyland nie był tematycznym parkiem rozrywki, dzięki czemu mógł mieć wszystkiego po trochu. Była w nim kolejka górską o nazwie Delirium Shaker i zjeżdżalnia wodna (Szust i Chlust Kapitana Nemo). Na zachodnim krańcu lunaparku znajdował się specjalny aneks dla małych dzieci, zwany Tupusią Wioską. Była też sala koncertowa, w której – tego także dowiedziałem się później – występowali głównie mało znani muzycy country albo rockmani, których szczyt sławy przypadł na lata pięćdziesiąte lub sześćdziesiąte. Pamiętam, że Johnny Otis i Big Joe Turner zagrali tam wspólny koncert. Musiałem zapytać Brendę Rafferty, główną księgową, a zarazem nieformalną opiekunkę Gwiazdeczek, co to za jedni. Bren

uznała, że jestem dureń; ja, że ona jest stara; pewnie oboje mieliśmy rację.

Lane Hardy wwiózł mnie na samą górę i zatrzymał karuzelę. Siedziałem w kołyszącym się wagoniku, kurczowo ściskając poprzeczkę zabezpieczającą, i patrzyłem na zupełnie nowy świat. Ku zachodowi rozciągały się równiny Karoliny Północnej, niewiarygodnie zielone w oczach małolata z Nowej Anglii, który przywykł myśleć o marcu tylko jak o zimnym, błotnistym zwiastunie prawdziwej wiosny. Na wschodzie był ciemny, metaliczny błękit oceanu rozbijający się beżowymi impulsami o plażę, po której kilka miesięcy później miałem taszczyć moje zmaltretowane serce. Bezpośrednio pode mną widziałem pogodny bezład Joylandu – większe i mniejsze karuzele i kolejki, salę koncertową i budki z jedzeniem, kramiki z pamiątkami oraz Autobus Wesołego Psa, który woził klientów do pobliskich moteli i, oczywiście, na plażę. Na północy było Heaven's Bay. Z punktu widokowego wysoko nad lunaparkiem (tam gdzie ptaki szybują, a widoki czarują) miasteczko wyglądało jak przytulne gniazdo z dziecięcych klocków, na którego krańcach odpowiadających czterem głównym stronom świata wznosiły się wieże kościelne.

Koło znów ruszyło. Opadając ku ziemi, czułem się jak ten dzieciak z opowiadania Rudyarda Kiplinga, który jechał na trąbie słonia. Lane Hardy zatrzymał karuzelę, ale nie raczył otworzyć mi drzwiczek wagoniku; bądź co bądź, byłem prawie tutejszym pracownikiem.

– Jak się podobało?

– Bardzo – powiedziałem.

– Taa, nie jest zła jak na karuzelę dla babć. – Przekrzywił kapelusz na drugi bok i obrzucił mnie badawczym wzrokiem.

– Ile masz wzrostu? Metr osiemdziesiąt pięć?

– Metr dziewięćdziesiąt.

– Aha. Zobaczmy, jak ci się będzie podobało na Spinie w środku lipca, kiedy wciśniesz całe to swoje metr dziewięćdziesiąt w futro i będziesz musiał śpiewać *Happy Birthday* jakiemuś rozkapryszonemu smarkaczowi z wata cukrową w jednej ręce i rozpuszczającym się Reksio-Rożkiem w drugiej.

– Jakie futro?

Ale on już ruszył z powrotem do swojej maszyny i nie odpowiedział. Może zagłuszyło mnie radio, w którym leciał *Crocodile Rock*. A może po prostu chciał, żeby moje przyszłe obowiązki jako członka kadry Wesołych Psów Joylandu były dla mnie niespodzianką.

